

MONIKA
SZWAJA

Romans
na receptę



Prószyński i S-ka

MONIKA
SZWAJA

Polecamy

Zapiski stanu poważnego

Jestem nudziarą

Artystka wędrowna

Stateczna i postrzelona

Dom na klifie

Powtórka z morderstwa

M O N I K A
SZWAJA

Romans
na receptę



Prószyński i S-ka

Copyright © Monika Szwaja, 2004

Projekt okładki:
Paweł Rosołek

Redakcja techniczna:
Jolanta Trzcińska
Elżbieta Urbańska

Korekta:
Grażyna Nawrocka

Łamanie:
Anna Nieporęcka

ISBN 978-83-7648-305-4

Warszawa 2009

Wydawca:
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl

Druk i oprawa:
ABEDIK SA
61-311 Poznań, Ługańska 1

*Strykowi, przyjaciółom, a zwłaszcza przyjaciółkom
z Bacówki, a także wszystkim, którzy Bacówkę kochają.
Wprawdzie większość tego, co się dzieje w powieści,
to fikcja, ale przecież wiemy,
że TU WSZYSTKO MOŻE SIĘ ZDARZYĆ...*

Zdali!

Powinnam być dumną Matką Polką, bo Kuba miał drugą lokatę, a Sławka piątą, spisali mi się koncertowo, znajomi będą gratulować, dzieciaki szczęśliwe, a ja siedzę w łazience i zalewam się łzami! Matka kretynka.

Eulalia Manowska spojrzała w lustro krytycznie.

W istocie, było co krytykować. Jeżeli kobieta w wieku lat czterdziestu ośmiu leje łzy w sposób niepohamowany, zapominając na dodatek o uprzednim zmyciu malatury z twarzy, skutki muszą być straszne.

Westchnęła głęboko i odkręciła buteleczkę z francuskim płynem do demakijażu.

Ani kropli. Będzie musiała umyć twarz wodą z kranu, co jak wiadomo, jest bardzo szkodliwe dla skóry, wysusza ją okropnie i powoduje natychmiastowe tworzenie się milionów nowych zmarszczek.

I cóż takiego – zmarszczki! W końcu jest już stara i najwyższa pora na zmarszczki. To głupota udawać przed sobą, że się ma czterdzieści lat, podczas gdy się ma ich czterdzieści osiem.

Dlaczego miała Bliźniaki dopiero tuż przed trzydziestką? Gdyby zdecydowała się na macierzyństwo, mając lat dwadzieścia, to by miała dopiero trzydzieści dziewięć!

Zostanie sama. Samotna stara kobieta.

– Mamunia, zrozum – tłumaczył jej Bliźniak Starszy

(o pół godziny) jakiś miesiąc temu. – Na naszym uniwerku nie ma astronomii. Ja po prostu muszę jechać do Torunia, no, muszę. Ale nie martw się na zapas. Może nie zdam.

– Nie waż się tak myśleć – warknęła do własnego dziecka. – I nie zwracaj uwagi na starą matkę. Serce matki jest nieracjonalne, musi się mazać. A ty rób swoje. Sławka natomiast mogłaby zostać w Szczecinie.

– Mamuś, zlituj się, sama kończyłaś w Poznaniu!

– Bo wtedy u nas w ogóle nie było uniwersytetu. Dobrze, ja wszystko rozumiem. Różnica poziomów. Może za jakieś dwieście lat moje dzieci uznają, że wystarczy im wykształcenie szczecińskie...

Bliźniaki potarmościły Eulalię i poszły kuć.

A przed chwilą dzwonił Kuba z wiadomością, że zdał. Sławka też zdała, tylko nie mogła się do matki dodzwonić, więc powiedziała to jemu, a jutro wracają oboje.

Zostaje sama. Naprawdę sama, bo na dodatek Berybojkowie ostatecznie wyprowadzili się z drugiej połowy wspólnego domu, też zwanego bliźniakiem. Berybojkowie, oczywiście, wcale nie nazywają się Berybojkowie, tylko Siwińscy, a przydomek zyskali w pewnych dość dramatycznych okolicznościach, kiedy to okazali się ludźmi szlachetnymi i prawdziwymi przyjaciółmi, na których można polegać.

Eulalia była wtedy na etapie rozrywania się pomiędzy radio, dwa tygodniki i telewizję, Bliźniaki miały po trzy lata i chodziły do przedszkola, a ich ojciec od jakiegoś czasu rozwijał swoje ichtiologiczne skrzydła na arenie międzynarodowej, wyspecjalizował się bowiem w hodowli łososia norweskiego, który to łosoś występuje, jak nazwa wskazuje, w Norwegii. Okazało się, że Artur Manowski posiada jakieś niezwykle wyczucie do tego łososia, zwłaszcza w kwestii jego pożywienia. Spora hodowla gdzieś pod kołem polarnym, w której zaczepił się przypadkiem, odkąd pozwolono mu poeksperymentować, zanotowała znaczący wzrost wszystkich możliwych wskaźników. Wyglądało na to, że i Artur zapalił się do swojego rybnego dzieła, bo co-

raz częściej i na coraz dłużej wyjeżdżał do Norwegii. Miało to pozytywne skutki finansowe, więc Eulalia nie stawiała mu przeszkód.

Owego dnia właśnie wrócił z dwumiesięcznej podróży, bardzo zadowolony z siebie. Pojawił się w domu około dwunastej w południe, rzucił torbę na tapczan i od niechcenia pocałował witającą go żonę.

– Nie w pracy? A gdzie dzieci?

– Dzieci w przedszkolu – odpowiedziała Eulalia, bardzo zadowolona, że nie poszła dzisiaj do żadnej redakcji, stęskniła się bowiem trochę za swoim przystojnym Arturkiem, a widząc go w pieleszach o tak nietypowej godzinie, miała nadzieję na kilka słodkich chwil sam na sam.

Arturek nie zdradzał jednak ochoty na żadne tet a tety. Pogwizdując, udał się do łazienki, wziął prysznic, wylazł całkowicie ubrany i otworzył podróżny sakwojaż.

– Przywiozłem dzieciom sweterki – zakomunikował. – Prawdziwe norweskie. Prezent od tatusia na zimowe ferie.

Eulalia rozwinęła paczuszkę zapakowaną w srebrną bibułkę (koloru mrozu, jak to trzy godziny później określiła Sławka) i obejrzała sweterki. Piękne były, owszem, jeden błękitny, a drugi różowy, z deseniem szarych reniferów ciągnących sanki.

Mąż dobrał się tymczasem do lodówki, poczęstował się zimnym piwem i spoczął na kanapie w pozie niedbałej.

– Sam kupowałeś?

– Bo co? – najeżył się.

– Bo chyba rozmiar nie ten. Twoje dzieci mają po trzy lata. – Eulalia ze śmiechem i wciąż w nadziei rozruszania męża zrzuciła bluzkę, mignęła mu przez moment kokieteryjnie biustem przed oczyma i przywdziała niebieski sweter.

Biust nie zadziałał, za to sweterek pasował jak ulany. Eulalia, zdumiona i rozbawiona, obejrzała metkę różowego egzemplarza. Trzydzieści osiem.

Mąż na kanapie znieruchomiał z piwem w dłoni.

- Cholera – powiedział krótko.
- Pomyliłeś rozmiary? – z niedowierzaniem zapytała Eulalia, której nic jeszcze w głowie nie zaświtało.
- Masz mnie za idiotę? – odruchowo odpowiedział jej mąż.
- Ach, rozumiem, to dla mnie! Dziękuję ci, ale po co aż dwa... Śliczne są, będę miała na narty.
- Przecież nie jeździsz na nartach!
- Nie szkodzi. Może kiedyś pojedziemy na zimowe wakacje. I mogę je nosić do pracy, jak będę miała zimą zdjęcia w plenerze. A gdzie masz te dla dzieci?
- Szlag by to trafił. – Artur padł na swoją kanapę, dopił piwo i sponurzał do reszty.
- Eulalia nie wiedziała, co o tym sądzić. W norweskim cudenku było jej o wiele za gorąco, ale nie chciała po raz drugi wygłupiać się z tym gołym biustem, skoro małżonek i tak nie reagował, a nie przyszło jej do głowy, żeby wyjść i przebrać się w drugim pokoju. Mąż stawał się coraz bardziej wściekły, co było po nim doskonale widać. Postanowiła zaczekać, aż sam jej powie, o co chodzi.
- Wreszcie się zdecydował.
- Dobrze. Zastanawiałem się przez chwilę, czyby ci czegoś nie zaszklić, ale może i lepiej, że tak się stało, jak się stało. Te sweterki były dla kogoś innego.
- Eulalia bardzo chciała myśleć, że zaszła tu jakaś prosta pomyłka, ale wyraz twarzy jej ślubnego wykluczał proste rozwiązania.
- To znaczy, że jakaś pani w tej Norwegii nie wciśnie się w swój prezent – powiedziała powoli.
- Dokładnie tak, psiakrew – odparł mąż. – To przez te identyczne opakowania. Bibułka, psiakrew. Wstążeczki! Nalepeczki!
- Trzasnął pustą butelką po piwie w blat stolika, ale wyrazu twarzy nie zmienił.
- To znaczy – drążyła Eulalia – że ta pani w Norwegii nie jest incydentalna?

– Jaka? – Arturek spojrział na nią wściekle. – Czy ty nie możesz mówić normalnie?

– Mówię normalnie – powiedziała Eulalia przez ściśnięte gardło. – Masz wobec niej jakieś dalekosiężne plany?

– Mam i nie rób, proszę, awantur.

Eulalia, która do tej pory była niewzruszona jak skała Gibraltaru, poczuła, że coś w niej rośnie. Albo będzie to wielki płacz, do którego nie można przecież dopuścić w tych okolicznościach, albo jak go rąbnie zaraz, tego zadufanego przystojniaka, męża od siedmiu boleści a ósmego smutku... Opanowała się.

– Nie robię awantur. Co to za jedna?

– Bardzo fajna kobitka – oświadczył mąż z nagłym przyływem beztroski. – Ma na imię Lisa. Też ichtiolog, jak ja. I też rozwódka...

Eulalia nie wytrzymała.

– Co to znaczy „też rozwódka”? – ryknęła straszonym głosem. – Jakie też! Ty masz już siebie za rozwodnika? Tyłko zapomniałeś mi o tym powiedzieć? O dzieciach też zapomniałeś?

– Nie drzyj się – powiedział jej mąż z niesmakiem. – O dzieciach pamiętałem, tylko mi się te debilne paczuszki pomyliły! Jednakowe były!

– Jasne! Jednakowe paczuszki! Dla dzieci sweterki, a dla mnie wiadomość, że mam męża rozwodnika! A już poczyniłeś jakieś kroki w tym kierunku? Masz już adwokata, założyłeś sprawę?

– Jeszcze nie. Myślałem, że sobie spokojnie wszystko omówimy, a ty od razu wpadasz w histerię. I zdejmij ten sweter, bo się zapocisz, ciepło jest...

Eulalia jednak wybuchnęła płaczem.

– Zapocisz, tak? Zapocisz i pani Lisa będzie miała nieświeży prezencik! Do diabła z twoim prezencikiem!

Rozejrzała się wokół siebie, dostrzegła porzucone na stole nożyczki do wycinanek i z pasją jął ciąć na sobie norweskie przyodzienie. Nie było to łatwe, jako że nożyczki

przeznaczone były dla niewprawnych dziecięcych łapek, a więc tępe jak nieszczęście, ale robiła, co mogła. Na zmianę szlochając i klnąc grubymi słowy, rwała błękitną wełnę, produkując coraz bardziej pokaźne dziury.

Mąż spróbował ją powstrzymać, ograniczył się jednak tylko do perswazji, nie mając pewności, czy rozwścieczona małżonka nie wpakuje mu tych nożyczek w oko albo gdzie indziej... wołał nie ryzykować.

– Nie wygłupiaj się, przestań, przecież wiesz, że nie to miałem na myśli! Lisie kupię jeszcze sześć takich sweterków albo dziesięć, jak będzie chciała, ale ty uważaj, bo sobie krzywdę zrobisz!

– Ona jest blondynką, co? – Eulalia wyszarpywała właśnie sporą dziurę w miejscu, gdzie kończył się renifer, a zaczynały sanki.

– Skąd wiesz?

– Bo te kolorki są dla blondynek, myślałam, że zidiociałeś, żeby mi takie kupować, ale chyba już bym wołała, żebyś zidiociał, a zresztą co ja gadam, po co mi mąż idiota...

Cisnęła kupkę wełny na podłogę. W tym momencie drzwi do salonu uchyliły się i pojawiła się w nich głowa w loczkach, a potem druga łysa.

– Pukaliśmy – powiedziała sąsiadka. – Ale chyba nie słyszeliście.

– Zobaczyliśmy samochód Artura – dodał sąsiad – i chcieliśmy się przywitać, ale chyba nie w porę...

Eulalia zamarła z nożyczkami w ręce i resztką szlochu w głębi piersi.

– Chodźcie, chodźcie – Artur zerwał się z kanapy i niemal wpełznął sąsiadów do pokoju. – Może przy was Eulalia się opamięta. Dostała mi tu ataku regularnej histerii, aż się bałem, że sobie coś zrobi.

Eulalia zgrzytnęła i cisnęła w niego nożyczkami. Uchylił się. Natomiast sąsiad rozłożył współczujące ramiona, wobec czego Eulalia postanowiła w nie wpaść i popłakać jeszcze trochę. Sąsiad był duży i przytulny, a wszelkie nie-

stosowne skojarzenia wykluczała obecność jego żony, również współczującej.

– Co się stało, Luluś? – pytała teraz głosem pełnym troski. Eulalia szlochała nadal, odpowiedział więc Artur.

– Przykra sprawa. Właśnie wróciłem z Norwegii, sami widzicie, tyle że się wykapałem...

– I dlatego ona tak beczy, że się wykapałeś? – spytała przytomnie sąsiadka.

– Zaraz wam wszystko wytłumaczę – Arturek najwyraźniej grał na zwłokę. – Siadajmy, zrobię wam jakiegoś drinka, Eulalii też się przyda...

Eulalia głośno i wyraźnie powiedziała mu, gdzie ma jego drinka, po czym wydo była się z głębi ramion sąsiada.

– Już mi lepiej. Dziękuję ci, Jureczku, potrzebna mi była przyjacielska pierś do popłakania. Więcej nie będę. Teraz potrzebuję adwokata od rozwodów. Może macie jakiegoś pod ręką?

– Jezus Maria! Co ty godosz?

Sąsiedzi, rdzenni Ślązacy, w chwilach wzruszenia przechodzili na rodzimą gwara.

– Godom, co jest – Eulalii gwary na ogół się udzielały, miała dobre ucho i na przykład rozmawiając z góralami, automatycznie akcentowała pierwszą sylabę, a w kontakcie z ludźmi kresowymi zaczynała zaciągać. – Mój mąż mnie rzuci!

– A dajże ty spokój, dzioucha, to gupota jakoś! Artur, co ona?

– Myślałem, że załatwimy to jak ludzie kulturalni – powiedział kwaśno Artur. – Mam kogoś w Norwegii, powiedziałem jej, a ona wpadła w szal.

– Chopie, dyć ty się opamiętaj! Jaka Norwegia! Tukej mosz baba i dwojga dziecek!

– Żonę i dzieci zabezpieczę, będę im płacił alimenty, nie jestem przecież jakimś gnojkiem...

Duży Jureczek sapnął, podniósł się z fotela, wziął Artura za ramiona i spojrział mu głęboko w oczy.

– Chopie, tyś nie jest gnojek. Tyś som dwa gnojki w jednym chopie! Jakbyś mógł ty dziousze krzywda zrobić! No a tego, że dziecka chcesz łostawić, to jo ci, chopie, do końca życia nie wybocza! I lepiej bydzie dla ciebie, synek – sąsiad napędział się słusznym oburzeniem coraz bardziej – żebyś ty już stąd spieprzoł, bo ci tak dokopią, że przez całki tydzień bydziesz do zadku chodził i kolyndy śpiewo! Nie... jo już tygo nie strzymia!

Nie wytrzymał istotnie i zakończył przemowę potężnym ciosem, wymierzonym z całego serca w przystojną, zadufaną gębę Artura. Ten wrzasnął coś tam o bandytyzmie i z krwawiącym nosem wycofał się do łazienki. Jureczek odwrócił się w stronę Eulalii i chciał coś powiedzieć, ale nagle jakby zaniemówił. Oczy trochę mu się przy tym powiększyły.

Jego loczkowata żona, Anielka, podążyła spojrzeniem za wzrokiem męża i też zaniemówiła, choć nie do końca. Wydała z siebie cienki pisk, ściągnęła z fotela ludowy pasiak i owinęła nim Eulalię.

– Co ty robisz, przestań – zaprotestowała Eulalia, której z miejsca krople potu wystąpiły na czoło. – Mnie i tak jest o wiele za gorąco. Jureczku...

– Poczkej, poczkej, nie seblikej ty chustki! Jorguś! Kaj ty się dziwosz! Łobrecej się, ino wartko!

Jorguś posłusznie odwrócił się do kobiet plecami i dopiero wtedy Anielka pozwoliła zdumionej Eulalii odrzucić pasiak. Tym razem to Eulalia wydała z siebie cienki pisk, konstatając, że wśród licznych zniszczeń, jakie poczyniła w nienawistnym norweskim sweterku, jest potężna dziura na wysokości lewej piersi i że ta lewa pierś jest w chwili obecnej doskonale widoczna. W całości.

– O mać – powiedziała właścicielka piersi. – Przepraszam. Nie wiedziałam. Ja to cięłam na sobie i się chyba spruło. Już się ubieram.

Ponieważ sąsiad wciąż kontemplował widok za oknem, szybko zrzuciła szcztątki swetra i włożyła bluzkę. Przypo-

mniało jej się, jak to chciała za pomocą tejże bluzki pouwodzić własnego męża, i znowu trochę chlipnęła.

– Nie, nie – rzekła stanowczo Anielka. – Nie ślimtej się już, dzioucha. To łon sztyc zawyje i za wszycko zapłaci!

– Ja nic od niego nie chcę – powiedziała dumnie Eulalia. – Niech się wynosi do swojej cholernej Norwegii i swojej cholernej Norweżki, niech jej kupi całą górę sweterków i niech jej łososiami gębę zatka, ja nie potrzebuję niczego.

– A co ty, dzioucha, za berybojki opowiadysz – Jureczek oderwał się od futryny okiennej i popatrzał na nią z wyrzutem. – Łon za dzieckami to już w ogóle nie stoi, ale tobie tego robić nie wolno!

– One muszą mieć dobrze – dodała jego żona, kiwając energicznie loczkami – muszą mieć szkołę, skończyć studia i w ogóle wszystko, co potrzeba, a ty im sama tego nie zapewnisz. No, może i zapewnisz – poprawiła się, widząc oburzenie na twarzy Eulalii – ale jakim kosztem?! Mama powinna być spokojna o byt swoich dzieci i nie może pracować całymi dniami! Jak teraz będziesz je sama wychowywać, to musisz mieć dla nich czas. I na to ten twój, pożał się Boże, chłop, musi zapłacić.

– A jak nie będzie chciał – dodał Jureczek i zacisnął pięści jak dwa bochenki chleba – to ja mu tę piękną mordę znowu obiję... Przepraszam cię, Luluś, jeżeli urażam twoje uczucia.

Uczucia sąsiadów najwyraźniej już odzyskały właściwą temperaturę, bowiem oboje gładko przeszli na zwyczajną polszczyznę.

– Nie, nie urażasz – chlipnęła Eulalia. – Kochani jesteście. Dziękuję. Dobrze, że was mam za tą ścianą...

– No to my teraz pójdziemy za tę ścianę – energiczna Anielka wstała z miejsca, a jej wierny mąż uczynił to samo. – A ty się, Luluś, ogarnij, weź prysznic, niedługo musisz lecieć po dzieciaki, one nie mogą cię zobaczyć takiej rozmemłanej. Między sobą możecie się z Arturem pozabijać, ale dzieci nie mają prawa o tym wiedzieć. Nic, rozumiesz?

– Przecież w końcu się dowiedzą – jęknęła Eulalia.